

ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

GRABOWIEC.

AEHRENTHAL.

Wiedeń, 19. lutego.

Stanowisko międzypaństwowe Austro-Węgier nie olśniewa blaskiem. Potrzeba do tego aspiracyj międzykontynentalnych, posiadłości zamorskich, potrzeba przedewszystkiem tej zwartości wewnętrznej, która daje podłoże ekspanzyi wpływów na zewnątrz. Nieszczęśliwe wojny w pierwszych dwóch lat dziesiątkach za panowania Franciszka Józefa odebrało państwu pewność siebie, bezustanne zaś ostre przesilenia w obrębie składowych części monarchii, nie przyczyniły się do rozwoju potęgi. Mimo tego przychylne okoliczności — stary argument Habsburgów — powiększyły granice państwa. Za przyrzeczenie zachowania neutralności wobec przesilenia na wschodzie otrzymała Austrya od Rosyi na zjeździe cara i cesarza w Reichstadzie (1876) pozwolenie na okupacyę Bośnii i Hercegowiny. A chociaż Rosya później jęła czynić wstręty zrealizowaniu własnego ustępstwa, to przecież obrotność Juliusza Andrassego, ówczesnego ministra spraw zagranicznych, dopięła tego, iż na kongresie berlińskim (1878) Europa ratyfikowała poprzednią umowę.

Austro-Węgry zajęły więc Bośnię i Hercegowinę. Po długiej przerwie w powodzeniu, po efektywnej stracie Lombardyi, był to pierwszy sukces. Przez Bośnię i Hercegowinę wkroczyli Habsburgowie na Bałkan i wzięli czynny udział w kwestyi wschodniej.

Ale przez to samo Austro-Węgry weszły we współzawodnictwo z Rosyą.

Państwo to opierając się na pomocy danej narodom bałkańskim w dziele wyzwolenia z pod panowania otomańskiego, rozwinęło właściwym sobie trybem roszczenia do jakiejś władzy zwierzchniczej, do wpływu decydującego na losy państw świeżo powstałych. Austrya odcięta od zachodu i południa, mocą faktów pchnięta na Bałkan, podjęła nową misyę, bez szczególnego jednak sukcesu moralnego. Fizyognomia niemiecka w jakiej uka-

zywała się akcya monarchii na Bałkanie, odstręczała plemiona tamtejsze. Mimo hojnie sypanego grosza, sympatye dla Austro-Węgier rodziły się chyba u jednostek, które z grosza tego korzystały. Ogół słowiański na Bałkanie pozostawał obojętny albo wrogi, Albańczycy natomiast skłaniali się sympatyami w stronę włoską.

Aehrenthal, objąwszy w październiku 1906 stanowisko ministra spraw zagranicznych, zastał stan rzeczy wytworzony trzydziestoletnią rywalizacyą Austro-Węgier z Rosyą na Bałkanie. Sztuczki dyplomatyczne doprowadzały obustronnie niekiedy do porozumienia, jak np. w sprawie zaprowadzenia żandarmeryi w Macedonii. Ale kwestye zasadnicze nie znajdowały załatwienia. Doświadczył tego Aehrenthal zaraz na wstępie swego urzędowania. Na skutek rokowań żmudnych udało się ministerstwu spraw zagranicznych wydobyć od Bramy otomańskiej zgodę na budowę kolei środkiem sandżaku nowobazarskiego. Kolej ta, jak każdy środek komunikacyjny, byłaby znacznym dorobkiem cywilizacyjnym kraju. Ponieważ jednak dawałaby bezpośrednie połączenie monarchii z Konstantynopolem i Saloniką, więc projekt akceptowany już przez Turcyę spotkał się z takim oporem wszechstronnym, przez Rosyę zapoczątkowanym, że Aehrenthal musiał zrezygnować z planu a nawet zgodzić się na projekt rosyjski budowy kolei od Dunaju do Adryatyku.

Porażka odniesiona przekonała Aehrenthala, że wpływy Rosyi na Bałkanie i w Europie są silniejsze, aniżeli sąsiedztwo Austro-Węgier. Bez przełamania tych wpływów nie było mowy o jakiejś trwalszej ekspanzyi na południu.

Tymczasem bowiem Edward VII. angielski z olśniewającą konsekwencyą wdrożył był ową politykę osaczenia i odosobienia Niemiec.

Rzutki umysł następcy królowej Wiktoryi pojął, że dla wszechświatowego stanowiska Wielkiej Brytanii jedyną prawdziwą przeszkodę stanowią Niemcy. Zaborczy pęd nowego państwa nie ograniczał się już na wschód kontynentu, ale począł się rozlewać strugą szeroką po wszystkich częściach kuli ziemskiej, gdzie dotąd panował niepodzielnie wpływ angielski. Stanąć w poprzek tej ekspanzyi, oto zadanie jakiego się podjął Edward angielski.

W porozumieniu z ówczesnym francuskim ministrem spraw zagranicznych, Delcassém, przyszło do bardzo misternie poprowadzonej akcyi, której wynikiem było spotkanie cara z królem Edwardem w Rewlu i nawiązanie trójporozumienia między Anglią, Francyą a Rosyą, jako przeciwwagi wobec trójprzymierza.

Wypadki te uwypukliły rywalizacyę mocarstw w sposób drastyczny dla usposobienia ogółu europejskiego. Ale wybuch rewolucyi młodotureckiej na chwilę zmącił jasność wytycznych.

Niespodziewane odrodzenie państwa do niedawna na zagładę skazanego, wymagało nowej oryentacyi. Starym wzorem należało drzeć łyko zawczasu. W Buchlawie, posiadłości morawskiej ówczesnego austro-węgierskiego ambasadora w Petersburgu hr. Berchtolda, nastąpiło spotkanie Aehrenthala z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych, Izwolskim. Uchwalono po sąsiedzku podzielić się łupem, zanim Turcya odrodzona nie stanęłaby na zawadzie. Austro-Węgry zaanektują Bośnię i Hercegowinę, Rosya dla siebie zdobędzie otwarcie cieśniny dardanelskiej.

Ale przy tej właśnie sposobności przyrodzona rywalizacya Austro-Węgier i Rosyi, objawiła się z całą bezpośredniością. Niemal sześć miesięcy trwała uporczywa walka dyplomatyczna o uznanie aktu aneksyjnego przez mocarstwa Europy. Jak nigdy przedtem sfery panujące i rządzące Austryą przekonały się naocznie jak zasadniczo i nieubłaganie wrogiem jest stanowisko Rosyi wobec monarchii.

Wyniesiony do godności hrabiowskiej Aehrenthal, w trakcie tych właśnie rokowań aneksyjnych, poznał w całości prawdę, której żadne komunały dyplomatyczne nie potrafią zatrzeć w całości.

Istnieją w Europie dwa mocarstwa słowiańskie. Jedno, to Rosya, „jednolita“ Rosya, państwo absolutne mimo „konstytucyi“ swej i dumy, rozpostarte na całej północy kontynentów Europy i Azyi.

Drugie państwo słowiańskie to Austro-Węgry. Zająwszy centrum Europy objęły one wszystkie niemal ludy słowiańskie w całości lub częściowo. Grzechy przeszłości, łatanina prawnopaństwowa w ciągu drugiej połowy XIX. stulecia dokonana sprawiły, że to słowiańskie w rzeczy samej państwo chadza w kostyumie niemieckim i madziarskim przeoczając niebacznie charakter istotny swych składników.

Między temi dwoma mocarstwami przyjść musi do starcia na śmierć i życie.

I oto dlaczego hr. Aehrenthal po przebyciu przesilenia aneksyjnego nie kwapił się do nawiązania czułości sąsiedzkich. Doświadczenia zebrane w ciągu pięciu lat urzędowania przekonały go, że wszelkie „przyjaźnie“ dyplomatyczne nie zapobiegną tej nieprzyjaźni, która toczy się nieprzerwanie z obopólnego stosunku życiowego obu państw słowiańskich.

Ale hr. Aehrenthal nie był do tego stopnia umysłem twórczym, aby poznanie to uczynić podstawowym dogmatem państwowości austryackiej. Utknął na stosunku napiętym do Rosyi, ale tej negatywnej zasady nie uzupełnił argumentem pozytywnym. Faktyczne stosunki monarchii, rozdrobienie interesów narodowościowych, przeróżność wpływów, nie dopuściły do stworzenia nowej koncepcyi politycznej, do programu ściśle określonego.

Stąd poszło, że przed kilku miesiącami mogła powstać tendencya do zmiany systemu obowiązującego, do zerwania sojuszu z Włochami. Stąd poszło, że dziś po śmierci Aehrenthala, zachodzą obawy poważne co do intencyi jego następcy.

Hrabia Berchtold ma stać się pionierem „sojuszu“ austro-węgiersko — rosyjskiego...

Z RELIGII WOLNYCH DUSZ.

(DROBNE UWAGI NA MARGINESIE ARTYKUŁU, PODPISANEGO LUX, W N-RZE GRUDNIOWYM „KRYTYKI“).

II.

Zacznę od słów, któremi prawie że kończy swoją replikę p. Walewska: „dopokąd krytyka milczała o broszurze Micińskiego, milczałam i ja“. Tak, szkoda wielka, że krytyka nie przemilczała tej „broszury“, bo moglibyśmy wtedy być spokojni, że los nam oszczędzi odpowiedzi p. Walewskiej. Ta krytyka jednak, która co rok odnajduje w każdem dziele Mic., tyle to a tyle nowych niepojętych słów, zdań, zdarzeń i konkluzyj — ta krytyka, która tylko jak famulus Wagner wierzy w truizmy czyli pośląd prawd, ta krytyka stale przemilcza pojawienie się każdej nowej książki Mic., pewna, że milczeniem tak zabija, jak gdyby mówiła, ta krytyka zawsze milczy — dopokąd milczy krytyka wielbicieli Mic. Czemuż bowiem p. Wal. równie rycersko nie stanęła w obronie kulturalności wyrażeń i etyki, kiedy Niemojewski od dwóch już prawie lat, stale i niezmiennie w „sposób niedopuszczalny, a nawet wstręt budzący“ uwłaczał godności pisarskiej Micińskiego, czepiając się nietylko jego, ale nawet tych, którzy z nim idą, kolejno natrząsając się to nad Feldmanem, to nad Nalepińskim, w zgoła wyraźny sposób za ich przychylność dla talentu Mic.? Otóż sposób postępowania tych wszystkich krytyków z ramienia Niepodległej Myśli, nie wyłączając owego anonima, który po odczycie Micińskiego o Niem. zużył aż cały fejleton w „Prawdzie“ na wylanie swojej gadzinowatości, sposób ten zaczyna być niegodny i, zaiste, tylko obrońców Niem. godny.

Krąży bowiem koło twórczości Mic. jak rój drobnoustrojów, czekających tylko na potrzebne im do rozwoju powietrze, by już w formie zakaźnika rozwiniętego rzucać się na wszystko, co napisze. Wystarczał nieraz drobny powód, by wyrastał strojny w inwektywy nieprzyjaciel; z tym jednakże milej jest w każdym razie obcować, jak z niezdemaskowanym wrogiem.

To też maluczko a i p. Walewska zacznie wyraźniej określać swoją „pociechę z talentu Mic.“ i wtedy już łatwiej będzie można z nią przedyskutować wartość „Walki o Chrystusa.“

Cóż znaczy ta ciągła oeillade w stronę fachowca, jakim powinien być wedle jej mniemania krytyk, zabierający się do „Boga Jezusa“ Niemojewskiego? Czemże zamanifestował Niemojewski swoją uczoność fachową w zakresie badań astronomicznych do ukazania się jego „Boga Jezusa“ — „Rokitą“? „Listami człowieka szalonego“? czy „Majówką“? Bo przecież tłómaczenie Flawiusza nie jest również patentem na astronoma. Faktem natomiast jest, że Mic. dawno przed ukazaniem się „Walki“ o Chrystusa“ nad dziejami Jezusa rozmyślał i że chęć rozwiązania problematu historyczności czy legendarności Jego Zjawu musiała kiedyś zasadniczo nastąpić w indywidualności tak skomplikowanej duchowo jak Mic., rozwiązanie jednakowoż tylko psychiczne, poparte jedynie dowodami, a nie dowodowe bez psychicznego podkładu. Nawet w naukach ścisłych ilościowo dokonano bardzo mało odkryć, rzeczywistej dla nauki wagi, według obliczonych z góry przewidywań uczonych gabinetów, natomiast to co przypisuje się w dziedzinie odkryć przypadkowi lub zbiegowi warunków sprzyjających jest w rzeczy samej intuicyą działającą momentalnie.

Cóż dopiero w dziedzinie badań religijnych, gdzie każdy krok naprzód jest zapadaniem się

TADEUSZ MICIŃSKI.

ZNISZCZENIE MESSYNY.

Okręt nasz, którym płynęliśmy do Indyj, został mocno uszkodzony na rafach wulkanu Stromboli, gdzie go rzuciła burza szalejąca w przeddzień Narodzenia r. 1907.

Ledwo mogliśmy dopłynąć do portu Messyny, witani za straconych. Parostatek poszedł na reparacyę do doków, pasażerowie rozmieszczeni gościnnie u mieszkańców Messyny lub po klasztorach.

Nasza gromadka przyjaciół, związanych hasłem Misteryum, została też rozsiana po mieście, aczkolwiek utrzymywaliśmy ze sobą wciąż blizki związek. Trzeba wyjaśnić poco jechaliśmy do Indyj.

Wszyscy — a było nas siedmioro — posiadłszy w sposób rozległy i możliwie głęboki wiedzę, doznaliśmy przeświadczenia, iż poza życiem ludzkiem kryje się świat mało lub wcale niedostępny nam. Okkultyzm, teozofia, spirytyzm, a przedewszystkiem religie na swój sposób starają się ten świat udostępnić. Znaczenie jego jest niezaprzeczone wbrew mniemaniu pozytywistów: stamtąd czerpiemy nasze porywy najszlachetniejsze, tam zmierza ewolucya ludzkości, tam w tem „Ponad“ kryje się sfera owego raju, który na ziemi kończy się tylko nudą, zwątpieniem lub przesytem. W organizacyi ludzkiej jest drobny pierwiastek, często znikająco drobny — owej metafizyczności. Ale ten pierwiastek, jak ewagieliczne drożdże, podnosi całe ciasto. Przez niego ludzkość prędko usnęłaby w socyalistycznem państwie, lub wymordowałaby się w denerwującej walce milijarderów. Jechaliśmy do Indyj, by tam z Mahatmami w Himalajach podzielić się Wiedzą. Od nich wyczekiwaliśmy, że nas w tajemniczą w możność wysyłania swego sobowtóra na dalekie przestrzenie, w możność widzenia i poznania wyższych stopni swego ja — a przedewszystkiem Jaźni, która, zazwyczaj nam europejczykom przejawia się tylko w formie błyskawicy przeczuć, w wyjątkowych aktach wolnej twórczej woli, w nieustalonych zjawach pośmiertnych.

Nakoniec, chciałem uzyskać jeszcze drogę dla mych osobistych przeświadczeń, dotyczących Lucifera.

w bardzo niepewny grunt badań ścisłych na tem polu, nie każda więc pretensyonalna bufonada intelektualna jest wiedzą i ma prawo do odsądzania problematu religijnego jako ważnego czy nieważnego dla kultury danego narodu.

Jeżeli p. Wal. zna Mic. „Do źródeł duszy polskiej", to napewno pamięta i słowa jego: „że w epoce obecnej — po rozwoju nauk przyrodniczych i psychopatologicznych, po rozejrzeniu się w dziejach ludów i religii — po drobiazgowej krytyce ewangelij, jest hypokryzyą, małodusznością pielęgnowanie klerykalnego pasożyta." Nie o klerykalizm walczy Mic., ani o wczorajszy, ani o jutrzejszy, posiadając jednakże dar wyczuwania niebezpieczeństwa dla całokształtu kultury duchowej człowieka z takich odczuwań antyreligijnych, jakie podyktowały Niem. jego katechizm, miał prawo powiedzieć: „że jest niebezpiecznem podżeganie mas do wyzbycia się tych nielicznych i słabiutkich nici, które wiążą masy z Ewolucyą Ducha".

Mogę tu powtórzyć zdanie jednego z bardzo sumiennych badaczy polskich nad dziejami Jezusa: „nie wyobrażam sobie jednakowoż, by ruch wszczęty po pojawieniu się przypuszczalnem Chrystusa na arenie dziejowej, mógł był powstać bez działania osobistości w programie jasnym i prostym." Jakże wobec tego wyglądają wyznania p. Wal.: „sama przeżyłam tesknotę dziecinnych urojeń i tęsknot", krótko mówiąc: auch ich war in Arkadien geboren. Oczywiście, można bardzo dumnie odrzucać religię pokory, negacyi życia i samostarczalności, ale pocóż kłaść głowę w wązką obrożę wierzeń wolnomyślicielskich, a la „Myśl Niepodległa"?

Żeby poprzeć argumentami moje twierdzenia, zadokumentuję, iż p. Wal.,równie jak p. Niem. wykazują nieumiejętność czytania polskiej książki. Mic. mówi: „któżwięc przeżył dzieje Jezusa, jeśli nie ktoś równy Jemu? Jezus stoi pod każdym względem wyżej od uczniów swych". Zatem słusznie Mic., wnioskuje, że Jezus istniał lub ktoś równy jemu. P. Wal. zaś uważa to za niekonsekwencyę, a w nawiasie podpowiada mu: ewangeliści. Umiejmy więc wnioskować, jeśli wogóle ma być mowa o wiedzy. P. Wal. uznaje za krwawe, zawikłane, scholastyczne określenie, iż ogień bywa mocą dobroczynną, a zarazem okrutną. P. Wal. opuściła w cytacie swojej część pierwszą rozumowania o ogniu, zostawiła tylko obraz spalenia Hussa — i w czem tu ma być scholastycyzm Mic.?

Z powodu nieprzyzwoitego (?) tonu walki o Chrystusa („przyzwoity" ton p. Niem., który wszystkich krytykujących go nazywa łotrami, denuncyantami, fałszerzami, szulerami etc.) daje p. Wal. Mic. kilka odręcznych lekcyj, aby nikt interweniować nie potrzebował. Krewkość jednak p. Wal. każe jej odrazu sypnąć wyrażeniami w rodzaju „bufonad, poetycznych jeremiad, zamydlania oczu". Można było się spodziewać, że komnata wychowawcza p. Wal. znajdzie się obok laboratoryum zodyakalnego Niem., ale dlaczegoż zaraz w bliskości pralni? Te mydliny, och, no i to z jakiego powodu? Na całą książkę o 137 str. znalazła p. Wal., jedyny fakt, gdzie mówi Mic., o dolnej sferze istnienia p. Niem.-go. To budzi wstręt? A ja myślę, że przeciwnie. P. Niem.-ski powinien być himmelhoch jauchzend, że wogóle jeszcze ktoś przyjmuje w nim dolną i górną sferę istnienia.

Na tem można zakończyć polemikę z p. Wal., trzebaby natomiast w kilku artykułach wytoczyć przeciw p. Niem., prokuratorskie oskarżenie za jego nakręcanie argumentów, rzekomo krytycznych. Z „Nietoty", która jest oparta bezwarunkowo na poważnej znajomości ducha Indyi, a więc na hymnach Rigwedy, na Upaniszadach, na Purana Bhagawat, nie mówiąc o indyjskich dramatach Kalidasy lub filozofii systematów indyjskich, p. Niemojewski wydobył swym cienkim skalpelem nic nieznaczącego Notowicza, którego wartość zbywa

---

Według mnie, był to brat starszy Chrystusa w jego przedwiecznem istnieniu. Średniowieczny katolicyzm przedstawia nam Lucifera w formie upadłego anioła. Miałem jednak dane mniemać, że jak Chrystus rządzi w sferach religii naszych uczuć — w sferach Miłości między ludźmi, wyższej nad zmysłowość — tak Lucifer jest Królem naszych Jaźni.

Zastrzegam raz jeszcze, że używam tego pojęcia — nie jako świadomości indywidualnej, lecz sfery nadświadomej, ultrafioletów naszej osobowości.

Gromadka nasza zbliżyła się ze sobą w różnych miejscach globu i w różnych czasach, ale zjechaliśmy się wszyscy w Genui.

Wśród boskiej nocy z widokiem na baśniowe, świecące jak bramy nieba miasto, parostatek nasz wyruszył, wioząc nas, którzy mieliśmy dumną wolę stać się Newtonami owych nadświatowych potęg. Mieliśmy postanowienie i dużo zresztą danych, aby tę sferę oczyścić z szarlataneryi i guślarstw, również jak z martwych dogmatów. Naprzód muszę opowiedzieć o jednym z towarzyszów koła Misteryum, który jednocześnie był kapitanem naszego okrętu.

Rodzice Konrada Orolskiego, wygnańcy sybirscy, żyli poezyą Anhellego i Dziadów; syna swego wychowali w poezyi mesjanicznej i nazwali Konradem.

Ale umarli młodo, pozostawili pacholę na łasce opiekuna. Ten zagarnął majątek Konrada i korzystając, iż dziecię było słabowite, chował je w opuszczeniu. Lecz Konrad chciał być marynarzem. I oto nieludzki opiekun oddaje go na chłopca okrętowego do Anglii — a Konrad był tak słaby, że ledwo mógł chodzić — wyobraźnia jeno płonęła w nim ognista do krajów tropikalnych, gdzie ptak Rok niósł na skrzydłach Sinbada żeglarza, rzucając go w dolinę dyamentów. Stał się dziw, Konrad nie umarł, ale w najtrudniejszej i nadsilnej pracy wzmocnił swe zdrowie.

Został kapitanem okrętu. Jako uczony odbywał podróże po najdziwniejszych krajach — to zamieszkiwał Ziemię Ognistą, to wyspę Tristan da Kuńa z jej tragicznym lodowatym wulkanem — i wszędzie byliśmy już razem. Lecz patryotyzm zbyt namiętny rodziców pomścił się na Konradzie — bo oto zakochał się i ożenił potajemnie nawet przedemną z kobietą narodowości nam wrogiej. Ale poznawszy Begleniczę musiałem przyznać, iż jest to Walkirya w pełnem tego słowa znaczeniu.

Mieszkałem, czekając wyjazdu, w zamczysku

lekko sam Miciński, mówiąc na stronie 132: „Ta opowieść o panterze jest więcej warta od całej ewangelii Issy" (Notowicza.) Nastrząsa się p. Niemojewski z paru wyraźnych i mało znaczących omyłek w „Nietocie", czysto korektorskich jak Juliusz Flawiusz a nie Józef Flawiusz, o którym wie chociażby z Iłowajskiego każdy uczeń w klasie piątej, albo nie mających z treścią i znaczeniem „Nietoty" zgoła żadnego związku (jak to, czy Ofiuchos określony jest w komentarzu „Nietoty" słusznie.) P. Niem., w swojej książce „Bóg Jezus" popełnił bezprzykładną ilość błędów korektorskich, które wytykać i wyliczać byłoby poniżaniem roli krytyka do roli grzebienia.

Erudycya p. Walewskiej i p. Niemojewskiego, którą sobie implikują na niekorzyść Micińskiego, przypomina słynną erudycyę Katarzyny Wielkiej, która biorąc do kieszeni traktat o astronomii, zadziwiała swą erudycyą o embolizmie, kalendarzu Grzegorza VII i t. d. Jednocześnie zaś w ogrodzie cesarskim posąg starca z długą brodą nosił podpis: Safo, stara kobieta zwała się: Awicenna, dwaj młodzi ludzie: Filemom i Baucis. Proponuję, aby z kursem astronomii przeszła się p. Walewska po swym własnym ogrodzie, jeśli omija dyskretnie słynne ogrody p. Niemojewskiego, który z nimfy Perenny zrobił biblijną staruszkę Hane, z krzyża Chrystusowego — phallus Ozyrysa, w jeziorze Drogi Mlecznej każe łowić apostołom ryby i t. d.

Kończę mem bezwzględnem przekonaniem, że to, co podyktowało Mic., jego „Walkę o Chrystusa" nie było tylko prywatnem załatwieniem sporu z p. Niem., bo od tego ma Mic., dość cięte pióro i miejsce w gazetach. Nie było to również „eleuteryjskim katolicyzmem", który nic niema wspólnego z sasadniczym tonem twórczości Mic., t. j. Luciferyzmem. Jedynie troska rzetelnego przeżycia przez naród całej Ewolucyi Ducha mogła wywołać książkę „Walka o Chrystusa".

Marya Zimowit.

P. S. P.

W dniach 18. i 19. b. m. odbyły się posiedzenia krajowego Komitetu wykonawczego Polskiego Stronnictwa postępowego, na których wspólnie z posłami stronnictwa przedyskutowano cały szereg spraw ważnych i aktualnych.

Sprawy organizacyjne, kwestye reformy wyborczej do Sejmu, stosunków polsko-ruskich, ubezpieczenia społecznego znalazły w tej dyskusyi sporo miejsca. Na pierwszy plan jednakowoż obrad Komitetu wybiła się sprawa kanałowa. Wymaga ona dalszych wysiłków i walk ze strony społeczeństwa, o ile nie mamy stracić tych korzyści, jakie nam zapewniła ustawa z 1901-go roku.

Celem ustalenia poglądów na tę sprawę w obecnej jej fazie i wskazania jasnych, wytycznych naszych w tej mierze, żądań, postanowiono wydać obszerny komunikat, obejmujący główne punkty przeprowadzonej w tym kierunku dyskusyi.

Ponadto postanowiono na dzień 24. i 25. marca

---

odwiecznem jeszcze normandzkiem. Chodziłem po tarasie długo, rozmyślając nad straszliwie dziwną miłością, którą zapłonęła do mnie Beglenicza. Wiedziałem o tem i używałem wszystkich sposobów, aby miłość ta wzniosła się w najczystsze regiony zdobywanej wiedzy i duchowego Światła.

W tem wsunął się na taras ksiądz Łącki, staruszek z Ukrainy, który miewał nadzwyczajne wizye.

Przechylił się nad ciemną otchłanią, w której migotało miasto i rzekł:

— Widzisz tam bezmierne hufce duchów — oto cmentarzysko — duchy rwą się do opuszczenia ciał — ale ci materyalni w zmysłowości uciechach zatopieni ludzie nie słyszą głosu przeczuć. Widzisz zawieruchę duchów?

— Co to ma znaczyć, rzekłem, stropiony głosem wzruszonym księdza.

— Widzisz? o jaki on straszliwy jest — przysięgam, on was chce zniszczyć — was troje — którzy wdzieracie się w regiony luciferyzmu — dlaczego — miasto ma ginąć przez was? Uciekajcie o... jak straszliwy wzrok jego — wchodzi w czeluście Etny i wytrząsa stamtąd skrzydłami ku wam.

Księże Łącki, rzekłem uspokój się — idź, w moim pokoju znajdziesz wodę i sok z granatów.

Idź, mój dobry... śnisz, widzę, na jawie.

Niechże ksiądz uspokoi się nareszcie, rzekłem surowo.

Ale on przechylił się jeszcze nad taras, tak że go musiałem trzymać — i krzyknął:

— Bure masy tu — masy astralne — przeryte błyskawicami krwawemi. Ty jesteś w świetnej aureoli z trzech barw — rubinowej — szmaragdowo — zielonej — i modrej... ale ta kobieta zniweczy twe tęcze. Czemuż nie widzisz, że wzbudzasz gniew Lucifera, sięgając razem z nią w jego królestwo — oddal się — oddal...

— Księże Łącki, idź ze mną do mego pokoju. Połóż się — —

Ale on pchnął mię silnie i patrząc w głąb rozognionym wzrokiem, zakrzyknął:

Nie rozumiesz mię, gdyż nie pozwala ci widzieć twoja nadmierna zmysłowość... wiedz, miasto całe zginie za chwilę... Idź w dzwony uderzyć... oh, ratuj moją córkę Sylwię...

Wieść ta wstrząsnęłaby mną — w innym czasie — Sylwia była jedną z towarzyszek wyprawy.

Ksiądz pochylił się — i gdybym go nie wstrzymał, runąłby niechybnie.

b. r. zwołać do Lwowa krajowy zjazd mężów zaufania stronnictwa. Treść przytoczonego powyżej komunikatu jest następującą:

Krajowy Komitet wykonawczy P. S. P. wita z zadowoleniem fakt rzeczywistego rozpoczęcia budowy kanałów spławnych na terenie galicyjskim. I jakkolwiek przestrzeń 12-to kilometrowa podjętych robót ziemnych pod Zelczyną i Kosową w stosunku do całej długości projektowanych dróg wodnych w Austryi (804 klm.) — a nawet w stosunku do długości kanałów galicyjskich (465 klm.); jest znikomo małą — nie może przeto dawać gwarancyi, że dalsze roboty będą wykonywane, to jednak ten czyn realny zdobyty przez obecne Koło Polskie po 10-letniem zabagnieniu sprawy kanałowej mieć musi doniosłe skutki w przyszłości, wobec uświadomienia publicznego w tym kierunku.

Równocześnie wyraża Komitet wykonawczy stronnictwa swe niezłomne przekonanie, że rządowy projekt noweli kanałowej daleko odbiegł od linii wytycznych ustalonych, ustawą z 1901 r. — a wskutek tego zawiódł w zupełności oczekiwania społeczeństwa w tej mierze, stworzył nowe, dla idei sztucznych dróg spławnych niebezpieczeństwo.

Między innemi podkreśla Komitet wykonawczy w sposób dobitny następujące braki rządowego projektu w ostatniej jego redakcyi.

1. Projekt ten niejasny w swej stylizacyi — dozwala wrogo usposobionemu rządowi — na niekorzystną dla sprawy interpretacyę.

2. Nie zabezpiecza wcale należytej — ze stanowiska technicznego i ekonomicznego rzecz oceniając — budowy dróg spławnych w kraju. — Budowa ta prowadzona w tak powolnem tempie, jak je omawiana nowela normuje — byłaby anachronizmem technicznym, pochłaniającym olbrzymie sumy na koszta zarządu konserwacyi. Nie zaradziłaby ona również tej wiecznie jątrzącej się ranie naszego kraju, której na imię Emigracya sezonowa, na co poważnie liczono, walcząc o realizacyę ustawy z 1901 roku.

3. Ukraca o 1·2 miliona koron rocznie dotychczasowy budżet regulacyjny kraju, uszczuplając nasze prawa z takim trudem nabyte ustawami z 1901, 1907 i 1908 roku. Przyjęcie przez parlament proponowanej przez rząd noweli narażałoby na poważne niebezpieczeństwo regulacyę rzek w Galicyi, tak późno skierowaną na tory normalne.

Powstrzymało w zupełności zabudowanie potoków górskich i zalesienie stoków gór — do czego mogły nasze władze krajowe przystąpić w obecnej dobie. Jest to wprost niedopuszczalnem ze względu na dziki stan tego działu gospodorstwa krajowego i olbrzymie straty materyalne — jakie Galicya ponosi z okazyi nieszczęsnych powodzi — powtarzających się w ostatnich dziesiątkach lat częściej, aniżeli przedtem i ciągłego marnowania sił wodnych kraju, stanowiących w innych państwach dźwignię przemysłu i ogólnego dobrobytu.

4. Wykonanie kanału Dunaj-Odra-Wisła odsuwa na plan dalszy, a w swych pesymistycznych objaśnieniach przekreśla wielki program z 1901 roku.

Osłabia to znacznie przyszłą rentowność galicyjskich kanałów, obniża ich światowe znaczenie. Nasze bowiem drogi spławne stanowią jedno z najważniejszych ogniw przyszłej sieci europejskiej. Wyrwane z całości nie przyniosą nam tych wielkich korzyści handlowych i gospodarczych, którebyśmy niewątpliwie osiągnęli przez skierowanie potężnego ruchu transportowego, biegącego ze Wschodu na Zachód na najkrótszą i najtańszą dlań drogą wodną w Galicyi. Przez połączenie zaś naszego kraju z siecią dróg wodnych krajów zachodnich, uzyskujemy naturalne i zdrowe podstawy autonomii gospodarczej Galicyi.

Poznałem wtedy, że był w medyumicznym śnie.

Zaniosłem go do mego pokoju i ułożyłem. Ale niepokój straszny wstrząsnął mną. Nie mogłem jednak uwierzyć, że grozi istotne niebezpieczeństwo Messynie że strony Lucifera.

Luciferyzm — to pojęcie mocy, która w najgłębszych ciemnościach naszych świeci, jako nadświadome.

Wprawdzie od tego świecenia ciarki po skórze przechodzą, a mózg przeciętnego konsumenta tlenu wybiera się na spacer, z którego nie wraca w całości.

— — — Z księdzem Łąckim zamieszkiwaliśmy niedaleko klasztoru zakonnic, a z nim ta, którą nazwał swoją córką. Mąż Sylwii odjechał do Ameryki, mając nadzieję poprawić nadszarpany majątek.

Sylwia była osobą niezwykłej pogańskiej wzniosłości, a ponieważ miała ogromną przenikliwość, nieraz żartowała, iż w przeszłem wcieleniu musiałem być jednym z kardynałów Renesansu, którzy brali swe miłości obrzeżone w purpurę krwi i na tronie wiedzy.

Poza studyami nad Mendelejewym, Lyellem, Süssem, Lugeon'em — czytywałem z Beglenicza Scota Erygenę lub poetę arabskiego Gazaliego, razem rozmyślaliśmy o Luciferze i jego straszliwej samotni.

Sam przekonywałem siebie, iż nauka była tu jedynie muszlą, pokrywającą miłość ostatnią Don Juana.

Dlaczego wybrał mój mistycyzm kobietę nietylko genialną, ale przytem z tronem kasztanowych włosów, iskrzących ogniami, jak bronzowy kamień chalcedon, lub raczej jakby jesienną pieśń, lasu, gdy na bronzowych liściach migoce wschodzące słońce.

Wzrok Begleniczy podobny do groty Kaprejskiej, ale na dnie tych lazurów morskich odbijało się mroczne, gorejące lawą Inferno.

Wzrok Begleniczy był piękniejszy od wszystkiego, co stworzyła przyroda.

Dotąd miłość moja ku Begleniczy przepływała nad zmysłowością, jak aeroplan nad wściekłym wirem Niagary.

Ale nie z powodu wieku mego.

Nie porównam się do francuskiej kurtyzany Ninon Lanclos, która, mając lat 70, wzbudzała szały młodzieńców — i nietylko w loży z daleka.

Moja askeza opierała się nie na martwem wycieńczeniu ciała, ale na wzmożeniu jego rytmu,

5. Ustawę o wielkich inwestycyach wodnych stworzoną w tak szerokich rzutach przed 10-ciu laty stawia obecna nowela na gruncie prowincyonalnych i partykularnych rekompensat.

Jest to droga dla państwowych dróg spławnych w wysokim stopniu niebezpieczna, dla nas zaś niezmiernie kosztowna i nie korzystna, pomimo istniejącej legendy o specyalnem forytowaniu Galicyi w tym względzie.

W brakach powyżej naszkicowanych widzi krajowy Komitet wykonawczy stronnictwa dalsze, poważne niebezpieczeństwo dla niezmiernie doniosłej sprawy kanałowej i dlatego wzywa posłów stronnictwa,

1. by najbliższej sesyi parlamentarnej wraz z rzetelnymi przyjaciółmi doniosłego programu budowy z 1901-go roku wszczęli energiczną akcyę za powrotem do idei, zawartych w ustawie wymienionego roku. W każdym zaś razie starać się winni o skierowanie krajowej reprezentacyi parlamentarnej na drogę jak najbardziej stanowczej obrony wszystkich tych korzyści, jakie zapewniła krajowi wymieniona ustawa.

2. By pod żadnym warunkiem nie dopuścili do ukrócenia naszych praw, nabytych w dziale regulacyi rzek — co łatwo osiągnąć można przez przywrócenie proponowanego przez rząd pierwotnie 10-cio letniego terminu budowy.

3. Ażeby starali się wszelkiemi siłami spowodować szybsze i przychylniejsze dla kraju traktowanie sprawy kanałowej w bieżącym roku — na podstawie przyznanych nam w 1902-gim roku kredytów. Stać się to może przez daleko intenzywniejsze niźli dotychczas rozdawanie robót kanałowych na przestrzeni Kraków-Dziedzice i przez energiczne przeprowadzenie robót związanych z trasowaniem i projektowaniem kanału spławnego Wisła-Dniestr. W szczególności należałoby liczbę inżynierów krakowskiej Ekspozytury wydatnie powiększyć, tak, by najdalej do dwóch lat można było rozporządzać projektem ogółowym na tej przestrzeni.

Brak bowiem projektów powyższej gałęzi opóźnia całą sprawę, nie pozwala na równoczesne rozpoczęcie budowy kanałów galicyjskich od rzeki Dniestru — co Komitet wykonawczy uważa za rzecz taktycznie nader dodatnią i pożądaną.

STEFAN GACKI.

GRÜNSEE.

Na zielonych wód rostoczu
Jak dyamenty łzawych oczu
Świecą blaski gwiazd.
Zatopionych drzew konary
Z głębin ciche ślą pogwary,
Baśń rozwianych gniazd.

Zasłuchane dęby, buki
W baśń wtrącają swe pomruki,
O swej doli śnią.
I nad tonią pochylone
Cicho kłonią swą koronę,
W grób swój patrząc — drżą.

PARK.

Na wzorzyste drzew namioty
Spływa lekka mgła pozłoty
Lśni wśród ciągłych drgań
I z dyamenty przetopiona
Marmurowe zdobi łona
Białych, sztywnych pań.

Spadające krople rosy
Budzą echa i odgłosy,
Coś szemrze wśród traw.
Cienie białych pań bez ruchu
Zgiął swawolny wiatr w podmuchu —
Westchnął senny staw.

STAW.

Na uśpione lecą stawy
Zwiędłe liście, zeschłe trawy,
Mar jesiennych pęk,
Korowody rozszlochane
Lecą wolno i wód pianę
Muska cichy jęk.

A gdy wszystkie się tu zbiegły
W chłodnem łożu społem legły —
Wiatr poleciał w dal...
Ale jęków już nie słyszę,
Woda do snu je kołysze
...Zasnęły wśród fal. —

PROF. WINCENTY TROJANOWSKI.

KONKURS

na obraz historyczny, urządzony przez Tow. zachęty sztuk pięknych w Warszawie.

Chcieć cofnąć życie a więc i sztukę wstecz, żądać od nich, by się zwróciły do ideałów czy celów już minionych, nie zawsze jest możebne, a takie żądania, czy życzenia wydają najczęściej rezultaty wykoszlawione. Apostatyzm przeżył się już nawet jako temat literacki.

Minął okres malarstwa historycznego, malarstwa, które specyalnie u nas, ze względu na polityczne położenie nasze posiadało głęboką racyę bytu, było żywotne i wydało nadzwyczajne rezultaty. Lecz okres ten minął, podcięty przez pozytywizm, a następnie przez impresyonizm, oba kierunki niewymagające od dzieł sztuki żadnej idei, tylko wywołania złudzenia natury, efektów barwnych, malarskich.

Te kierunki jeszcze istnieją i dlatego wystawy artystyczne nasze są przepełnione portretami i krajobrazami, niewychodzącymi poza zwykłe, oderwane i najczęściej małoznaczące studyum z natury. Lecz kierunki te dostatecznie wykazały już swą pustkę, brak myśli, polotu, fantazyi, a więc tych clementów, z których głównie sztuka się składa; dlatego też poczęły odzywać się głosy, nawołujące do powrotu ku kompozycyi w sztuce, do przywrócenia figurze ludzkiej jej znaczenia, do pogłębienia sztuki przez ideę, do przywrócenia jej monumentalności...

Głosy te wskazują, że zaczyna powstawać reakcya przeciw „kawałkom natury" i że sztuka zacznie rozwijać się po drodze innej, bardziej głębokiej, nie tak ubogiej w ideje. Lecz jakim będzie ten rozwój, jaką owa droga nowa a głębsza, tego przewidzieć nie możemy. Nic jednak dziwnego, że pojawiają się życzenia, by sztukę pogłębić, ożywić, i że jej wskazują owe jakoby dla niej zbawcze drogi w powrocie do tematów historycznych, jak to miało miejsce w konkursie, ogłoszonym przez Tow. Zachęty Sztuk pięknych w Warszawie, przy współudziale mecenasa Leona Papieskiego, który złożył pewną sumę jako nagrodę dla najlepszego dzieła, warunkom konkursu odpowiadającego, lecz posiadającego zarazem wartość artystyczną.

Powszechnie uważa się u nas, że historyczne znaczenie posiadają tylko momenty dawno minione, że działające osoby muszą nosić na sobie zbroje lub szaty różnokolorowe o formach już nieistniejących, a tymczasem do historyi należeć może dzień dopicro co ubiegły, jeśli przyniósł fakt nowy, ważny w swych skutkach, głęboki w znaczeniu. A więc tylko fakt doniosły, lub zdarzenie niezwykłe mogą stanowić historyę, bez względu na to, kiedy się wydarzyły i czy osoby, biorące w nich udział, nosiły zbroje, kontusze, fraki, czy zwykłe tużurki lub nawet bluzy.

Fakty i wydarzenia mogą posiadać znaczenie jak najrozmaisze: mogą obchodzić ludzkość całą, i takie mają najdonioślejszą wartość, mogą obchodzić tylko kraj jakiś lub jakiś naród, jakąś prowincyę, miasto, nawet pewną tylko grupę ludzi, stanowiących stowarzyszenie o znaczeniu społecznem; a więc historyczne fakty i zdarzenia mogą być różnej natury i doniosłości i mogą obejmować nietylko objawy życia politycznego, ale i ogólnokulturalne. Wszystko więc może posiadać znaczenie historyczne, większej lub mniejszej wagi, byle tylko było faktem lub zdarzeniem.

Ważny przykład: koronacya Bolesława Chrobrego na króla polskiego lub uderzenie szczerbcem w bramę złotę Kijowa, jest zdarzeniem histo-

---

jego precyzyi muskularnej, jego impregnacyi mocami okultystycznemi.

Pozatem orka w polu na Litwie, kopanie w winnicy, o ile byłem we Włoszech — konne jazdy, chodzenie po górach, moje pływanie dniami całymi po wzburzonem morzu, przepływanie wraz z Konradem od Scilla do Cariddi, czyli dawnej Charybdy — na przejazd ten barka z 4 wioślarzami zużywała najmniej trzy godziny—w sztuce nautycznej bezwarunkowo przewyższyliśmy wraz z Konradem — Bajrona.

Ten tryb życia mistyczny, a jednocześnie fizyczna praca i rytm Radżajogi zachowały mię młodym. Jednakże mój wiek czynił mię raczej Starcem gór – ów twórca Assassinów, który żył na Libanie rządziłem myślami swemi i wszelkiem uczuciem z bezwzględną surowością. Dążyłem do wzmożenia sił magnetyczno-duchowych, chcąc wykuć Wolę w most olbrzymi między światem zmysłów i światem Jaźni kosmicznej.

Wtedy opanowanie ludzkością i wprowadzenie jej na drogę zatraconą heroizmu aryjskiego — byłoby tak łatwe, jak nastawienie wskazówki zegaru, wskazującego dwunastą o wschodzie słońca.

Zbliżałem się w trudzie wewnętrznym ku przełęczy, z której miały nam zabłysnąć wszystkie dale i najgłębsze moce.

Właśnie jednak tego dnia tj. w trzeci dzień Bożego Narodzenia odebrałem list od Begleniczy, w którym wzywała mię, abym się stawił o północy w jej salonie.

Zamieszkiwała bowiem w klasztorze, gdzie oddano do jej rozporządzenia salon na dole.

Cela zaś jej sypialna była wśród zakonnic na trzeciem piętrze.

Nadto pisała mi, że miłuje mię w stopniu bezmiarów; wzywała mię, abyśmy jutro razem wyjechali w lasy na stokach wulkanu Akonkagua tam nad najgłębszem morzem przeżyjemy wszystko, co może dać Ziemia.

Z tarasu widziałem, że Beglenicza chodzi po ogrodzie z tym, którego twarzy dojrzeć nie mogłem. Rwała wysokie, białe kwiaty: Białe kwiaty w ogrodzie klasztornym (irysy białe i białe lilie), kochała bowiem śnieg nadewszystko. Potem w salonie zaczęła grać. Muzyka to była, jakiej nie słyszałem nigdy. Opowiadała w niej Walkiryczne uczucia, marzenia o bogach Islandyi.

Nieznajomy błądził sam długo po tym ogrodzie, gdzie w rowach była szemrząca woda stru-

rycznem, ale uczty lub polowania tego króla nic z historyą nie mają wspólnego. Dzień otwarcia Dumy rosyjskiej był dniem historycznym, ale codzienne posiedzenia tejże Dumy są faktem zwykłym i bez historycznego znaczenia. A więc historycznym może być tylko fakt lub zdarzenie, posiadające pewne znaczenie ważne, zaznaczające się czemś niecodziennem, niezwykłem.

Dlatego też program konkursu imienia L. Papieskiego był szeroko pojęty, skoro obejmował wszystkie możliwe fakty i zdarzenia, związane nietylko z historyą polityczną przeszłości naszej, ale i z faktami lub zdarzeniami, odnoszącemi się do wszelkich przejawów kulturalnych życia naszego.

Jakiż plon przyniósł ten tak racyonalnie, szeroko pojęty program?

Bardzo, ale to bardzo lichy, bo większość artystów, którzy nadesłali prace, rozumiała, że program odnosi się do faktów dawno minionych, a ich kompozycye świadczą, że artyści nasi nie umieją myśleć i nie rozumieją tego, co to jest idea w sztuce.

Co przedstawia obraz nadesłany przez p. St. Lenca, a zatytułowany „Pod znakiem Staszica"?

Widzimy na nim jedenaście osób znanych ogólnie i stanowiących część Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. W głębi widnieie biust Staszica. Jaka myśl przewodnia, co za fakt lub zdarzenie złączyły te osobistości razem? Tego obraz p. Lenca nam wcale nie wyjaśnia, gdyż wszystkie te osoby są umieszczone bez żadnej łączności wspólnej, bo każda siedzi, jakby nie wiedziała o istnieniu innych, każda pozuje artyście do portretu, a wszystkie patrzą się w punkt jeden przed siebie, jak na grupie fotograficznej w objektyw aparatu.

Patrząc na wszystkie te twarze spoglądające na widza, zdaje się, że usłyszymy sakramentalne słowa: „Baczność panowie, zaraz zaczynam, proszę zrobić wesoły wyraz twarzy". Co prawda, tego swym modelom p. Lenc nie zapowiedział, bo żaden z nich wesoło nie wygląda.

Z jakiejże racyi ten zbiorowy i źle pomyślany portret znalazł się na wystawie konkursowej?

Bo p. Lencowi się zdawało, że skoro namalował jedenaście osób należących do zarządu Towarzystwa naukowego warszawskiego, a z tyłu umieścił biust Staszica, to już tem samem upamiętnił fakt założenia tego Towarzystwa.

Co za naiwne złudzenie.

Rembrandt ożywił malowane przez siebie portrety zbiorowe przez akcyę, która łączy osoby portretowane, jak to widzimy w „Lekcyi anatomii dra Tulpa"; to znów dał wizyę pełną fantazyi w swej „Straży nocnej" i tylko zmuszony przez nędzę zgodził się na owych „Sukienników", którzy patrzą wprost na widza, ale i ich ożywił i w ich ruchy włożył wyraz, impresyę. Mimo to wszystko portrety Rembrandta nie wyobrażają żadnego momentu o znaczeniu historycznem, ale tem mniej mają wspólnego z historyą upozowane osoby na obrazie p. Lenca.

Gdyby artysta wyobraził akt założenia Towarzystwa, lub nawet akt donacyi hr. Potockiego dla tegoż Towarzystwa, byłyby to zdarzenia mające przedewszystkiem ważne znaczenie dla tej instytucyi, ale nie pozbawione pewnego kulturalnego znaczenia dla ogółu. Lecz p. Lenc nigdy jeszcze żadnego zdarzenia nie uchwycił, żadnego obrazu nie skomponował i po za dział portretowy talent jego nie sięga.

Cóż za dzieło historyczne przysłał p. Axentowicz?

„Poselstwo polskie zaprasza na tron Henryka III.", brzmi tytuł obrazu, a więc fakt rzeczywiście historyczny; lecz ważność tego zdarzenia nie jest warta ugięcia kolana polskiego, chociażby tylko na obrazie i nawet na takim słabym i nie „historycznym", jakiem jest malowidło profesora akademii krakowskiej.

---

myków, a nad nią kwitnęły irysy, lilie, storczyki i konwalie białymi opłatkami.

Nieznajomy poszedł do salonu przyćmionego, z którego dochodziła przecudowna muzyka. Muzyka umilkła.

Noc panowała nietylko nad ziemią, lecz i wemnie.

Szczególny dreszcz wstrząsał podziemiami mej istoty, drżały fundamenty mej duszy i siliły się wywrócić zamczysko świadomości — wierzchołkiem w dół.

Patrzyłem w morze tajemniczych westchnień pełne, w miasto świecące łuną, po libacyach świątecznych uśpione.

Byłem świadomy swej misyi dziejowej.

Lecz wąż rajski, miłość Hewy umiłowanej, mogła mię odciągnąć od tytanizmu, który miał ludzkości wyrąbać tunel do świata słonecznego wiekuiście.

Mroczny cień, który towarzyszy zwykle każdemu księdzu, jest owym Apokaliptycznym zwierzem kanonów zakonnych — zwierzę to zmuszone przeglądać się w wodach martwych, przechodzi czasem w wybuch obłędu.

Ale wszak nademną szumiał oddawna kryształnie modry wodospad życia już nadziemnego?!

Mistyka moja nie była snem szklanym — ja niby ciężko okuty w żelaza czarne, rycerz — szedłem po górach duchowego realizmu — i w kuźnicy — przy ogniu kraterów podziemnych, wykuwałem mosty Życia Nowego.

Chrystusa nie wyrzekałem się, Chrystusa miłowałem, jako miłuje każdy Mag natchnienie swojej młodości.

Lecz droga moja była straszliwsza — po górach nieznanych Ewangielistom.

W Himalajach miałem swych przyjaciół — Mahatmów. Im posyłałem wieść telepatyczną, jak niegdyś z Londynu — gdy zakładałem Akademię okkultyzmu na wzór pitagorejski, ale z pewnością wyższą.

Tak paliło się powołanie wodza we mnie, kiedy nie żądałem już niczego dla siebie.

Wtem odczułem ostrzeżenie, które przyszło jako odpowiedź od Mahatmów.

Rozpętywała się burza magnetyczna w czeluściach Etny i oni kazali mi obudzić miasto.

Tedy zrozumiałem, że burza we mnie nie jest „pokusą", ale ostrzeżeniem gotującego się kataklizmu w przyrodzie. I nagle wytłomaczyłem sobie, że Beglenicza, jako wrażliwsza, podlegała tej burzy wcześniej, lecz będąc mniej oporną, dała rozognić swe zmysły. (D. C. N.)

Pan Axentowicz nie umie rysować, to też na tym obrazie ani jedna figura nie stoi dobrze na nogach, ani jedna głowa nie jest osadzona na karku. Co się tyczy charakteru osób, to Polacy są podobni do manekinów brzydkich i tępych, a Francuzi do źle wykonanych lalek. Ani figury, ani kostyumy nie mają żadnego charakteru; wszystko jest banalne i przerażająco słabe. Nieumiejąc narysować konia, artysta krakowski pokazał jego kawałki, ale zato na jego grzbiecie usadowił aż dwie osoby, takie przynajmniej otrzymuje się wrażenie. Niewiedząc jak namalować tło, zapełnił je jakiemiś latarniami japońskiemi i serpentynami karnawałowemi, co ma wyobrażać chorągwie i proporce. Z całego obrazu wieje niezrozumienie tego co się zwie „historyą“, niezrozumienie jej ducha, a traktowanie tematu jak gdyby to była scena ukostyumowana i wystawiona w drugorzędnym teatrze.

A przecież były to czasy najwspanialszego rozwoju Polski, złoty wiek Zygmuntów, czasy wspaniałego Renesansu, który Matejko tak genialnie uplastycznił w „Sejmie Lubelskim“, w „Hołdzie pruskim“ lub nawet w „Rzeczypospolitej Babińskiej“.

Przecież była to epoka najpiękniejszego rozwoju sztuki we Francyi, przedziwny Renesans. Z tego wszystkiego ani śladu niema w obrazie p. Axentowicza.

Pan Gramatyka przysłał z Krakowa trzy małe obrazy, z których jeden ma upamiętnić fakt historyczny, o rzeczywistem, ważnem znaczeniu. Ma to być scena „Przyjęcia chrztu przez Jagiełłę“. Jest to temat, którego nadzwyczajne, dziejowe znaczenie uplastyczniłby z całą siłą i potęgą swego geniuszu jedynie Matejko; on wykazałby w tej scenie jej ważność dla obu narodów: polskiego i litewskiego, on odtworzyłby tę epokę jeszcze średniowieczną, ale majestatycznie wspaniałą i wykazał różnice kulturalne i etniczne, jakie zachodziły wówczas pomiędzy tymi narodami.

A czemże p. Gramatyka zaznaczył głębokie znaczenie tego faktu historycznego?

Oto umieścił parę figurek, z których jedna trzyma w ręku bukiet kwiatów! Bukiet kwiatów na schyłku wieku czternastego! — to się nazywa pojmowanie faktów historycznych.

Inny obrazek tego artysty jest formalnem powtórzeniem owego chrztu Jagiełły, choć wyobraża wręczenie biretu kardynalskiego jakiemuś biskupowi.

Większy rozmiarami i bardziej odpowiadający małemu talentowi p. Gramatyki jest obrazek wyobrażający „Iluminatorów“, mnichów zajętych wykonywaniem malowideł miniaturowych. Gdzie to się dzieje, w jakiej epoce, co w tej scenie jest polskiego?

Dziać się to może w jakimś klasztorze niemieckim czy innym; niewyraźna architektura nie wykazuje epoki i tylko stół gotycki formą i ornamentacyą wskazuje na koniec wieku XV., to jest na czas, w którym mnisi ani u nas, ani gdzieindziej już miniaturami się nie zajmowali. U nas edynie w XI. i XII. w. benedyktyni trochę malowali, ale ich prace nie wywarły żadnego wpływu na rozwój malarstwa, więc wszelkie sceny w rodzaju obrazka namalowanego przez p. Gramatykę nie mają nic wspólnego z naszą kulturą ani z historyą. Prace p. Gramatyki są dowodem, że nawet artyści starzy, wyszkoleni przez Matejkę, nie rozumieją co to jest historya i jakie tematy mogą być historyczne i jak je obrobić należy. Rozumie się, że do tego potrzeba wiadomości naukowych, którymi artyści nasi wcale nie grzeszą, a i talentu, który nie każdemu jest dany.

Pan Antoni Piotrowski należy do tej garstki uczniów Gersona, która swą działalnością artystyczną zaznaczyła najświetniejszą kartę w rozwoju malarstwa warszawskiego, a której hasłem bojowem, celem i ideałem był pozytywizm. „Artysta nic innego malować nie powinien, jak tylko to co widzi, w czem bierze sam udział, co osobiście przeżywa“. To hasło propagowane z zapałem przez Witkiewicza, rzecznika owej grupy, podcięło istnienie kierunku historycznego lub wogóle myślowego w naszej sztuce.

Pan Piotrowski hasła tego niebardzo się trzymał, malował bowiem nimfy i satyrów w towarzystwie naszych pastuchów, sceny wojenne i epizody bitew, w których brał udział, jak również i tych, przy których był nieobecny, ale malował wszystko „pozytywnie“, to jest starał się wyobrazić naturę z dokładnością prawie fotograficzną.

Te pozytywistyczne“ zalety posiada obraz namalowany przez tego artystę i nadesłany na konkurs, a mający wyobrażać „Układy Chmielnickiego pod Lwowem“. Wyczuwa się w tym obrazie okrągłość figur umieszczonych w przestrzeni, ale za to figury te prawie żadnego nie posiadają charakteru, wyrazu odmienności typowych lub rasowych i żadnego temperamentu.

Dużo zalet malarskich i kompozycyjnych posiada obraz p. Michała Borucińskiego, młodego jeszcze artysty, który w kilku pracach poprzednich wykazał wielkie poczucie kolorytu i dekoracyjności. „Śmierć Warneńczyka“, albo raczej ostatnie chwile walki tego nieszczęsnego młodzieńca-króla, przedstawia się jako kompozycya dobrze obmyślana w szczegółach, jako obraz doskonały w walorach barwnych, a co najgłówniejsze, widać w tej pracy, że artysta chciał ją utrzymać w formach wystylizowanych, przypominających stare freski włoskie z XIV. stulecia.

Przy wielkich zaletach, wskazujących na tę pracę jako na jedyną, odpowiadającą warunkom konkursu, bo prócz tematu widać w niej starania o utrzymanie charakteru przeszłości, widać usiłowania wykazania „stylu“, obraz p. Borucińskiego posiada i wady, a więc, mimo walki nie wyczuwa się w nim dramatu, brak mu przestrzeni powietrznej, kompozycya czyni wrażenie jakby była wycięta z jakiejś większej całości, rycerz leżący na ziemi jest źle narysowany i nie dobrze wytrzymany w kolorycie.

Praca ta upoważnia do przepuszczeń, że p. Boruciński jest na dobrej drodze i wykona niejedno dzieło pod każdym względem doskonałe.

Ten nieudatny pod każdym względem konkurs przyniósł jeszcze jedną niespodziankę: oto p. Nałęcz nadesłał ciężką, ordynarną w technice, kopię z obrazu Van der Velde „Wystrzał armatni“ i nazwał to „epizodem z dziejów floty polskiej“. Na coś podobnego nie zdobył się jeszcze żaden artysta; widocznie p. Nałęcz był tak przekonany o naszej ignoracyi dziejów sztuki, że bez ceremo-

nii ukazał nam własność cudzą za płód swego ducha.

Niewiadomo, kto tu jest więcej godzien ubolewania: społeczeństwo mało oświecone, czy artysta-plagiator.

Ruch, jaki się zaznaczył w ostatnich latach w malarstwie naszem, wspierał się na studyowaniu ludu a właściwie na studyowaniu jego etnografii, nie wydał jednak dotychczas poważnych rezultatów. Zamiast czerpać to, co lud dać może w ujęciu malarskim, poczęto używać figur i kostyumów ludowych dla wyrażania pojęć nic z ludem nie mających wspólnego.

Pan Krasnowolski namalował wiejską dziewczynę w objęciach jakiegoś Mefistofelesa czy ogromnego, czarnego nietoperza i nazwał swój obraz „Sztuką". Ten mało estetyczny i płyciutki symbol, ma zapewne wyobrażać sztukę nową, młodą, która z ludu ma się począć. W tym celu każe on spacerować tej dziwnej parze po jakimś cmentarzu, gdzie wśród zieleni, chyli się las krzyżów i krzyżyków, które mają być widomym znakiem sztuki dawnej, według pojęć p. Krasnowolskiego przestarzałej i pogrzebanej pod tymi krzyżami.

Złudne i naiwne pojęcie, rozbrajające dziecinnością pomysłu.

Jednak na tym niewielkim obrazie jest dobrze rozprowadzone silne światło słoneczne.

Ale co pomysł p. Krasnowolskiego ma znów wspólnego z historyą lub kulturą naszą?

Dlaczego ten obraz znalazł się na tej właśnie wystawie?

Niewiadomo także dlaczego również zawieszono tu malowidło p. Wyszyńskiego, które nawet nie jest żadnym obrazem, lecz kiepskim projektem na okładkę książki, a wykonanym w olbrzymich rozmiarach. Czyżby p. Wyszyński sądził, że czerwono namalowany medalion Słowackiego, tworzący się jakoby z dymu kadzielnicy wyobraża wielkość naszej kultury? Ten pomysł nawet na okładkę jest za banalny.

Otóż te wszystkie prace (a nawet i wycofane przez cenzurę: „Kościuszko" Gawińskiego i „Modlitwa weteranów" Wodzinowskiego), dowodzą dobitnie, że nie można w sposób umyślny wywołać w sztuce ruchu nawet nowego, a cóż dopiero cofnąć ją wstecz. Ideowe malarstwo zamarło, istnieje obecnie era wytwarzania dzieł sztuki płytkich ale odpowiadających poziomowi dzisiejszego społeczeństwa. Naturalnie, taki stan nietylko wiecznie ale nawet zbyt długo trwać nie może; sztuka znów czerpać będzie ze skarbnicy myśli ludzkiej, znów będzie dążyła do ideału wznioślejszego, nabierze głębi jakiej jej brak obecnie, ale przez tysiąc rubli, rzuconych hojnie na konkurs, nie zbliży się tego momentu.

Sądzić należy, że to pogłębienie się sztuki nastąpi w czasie dość już bliskim, gdyż w społeczeństwie siły jego młode, a więc bardziej wrażliwe i bardziej żywotne już zaczynają tęsknić za ideałem wyższym. Gdy to dążenie stanie się silnem i trwałem, sztuka natychmiast odźwierciadli je w swych dziełach. Pokolenie dzisiejsze myślą ubogie, może zazdrościć zarówno tego, co tak niedawno minęło, jak również zazdrościć i tego, co wkrótce już może nastąpi. Ale to, co nastąpić ma, będzie zasługą tych, co przyjdą.

Dzisiejsi zejdą chyba z areny życia, nic w tym kierunku nie uczyniwszy.

Warszawa, w lutym 1912.

J. KRZESŁAWSKI.

ŻYCIE POLITYCZNE MŁODZIEŻY.

IV.

Wiele warunków sprzyja temu, aby przez napływ sił młodych odświeżyć społeczeństwo, które przestało wierzyć w siebie, które jest owładnięte dziwną tragedyą niemocy i którego nic nie zdoła rozruszać. Nawet potężne fale ruchów wyzwoleńczych, społecznych i narodowych, które uderzeniami swemi zwalają szczątki *ancien regime'u* i zdają się być zapowiedzią niezwykle silnych a brzemiennych skutkami kataklizmów dziejowych, fale, które biją z rzekomo „zgniłego" Zachodu, a uderzają o Teheran, Nankin, o ogniska prastarej cywilizacyi Wschodu, nie zdają się wytrącać go z równowagi: „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna". Zabierają nam Chełmszczyznę — przyodziejem więc żałobę; proletaryat demonstruje — damy 5 kurję; kwestya ruska się zaostrza — od czegoż Bobrzyński; aż 110 socyalistów — dopomożemy centrowcom w sprowadzeniu jezuitów, którzy ochronią nasze strzechy od kary Bożej. Gdy takie panują nastroje i taka orjentacya, niezwykle ważnem staje się pytanie, co przyniesie wstępujące w szranki życia politycznego młode pokolenie „pogrobowców" rewolucyi 1905 roku; czy im sądzono stać się tymi mężami, o których pisze Żeromski w „Dumie o hetmanie", że przez ich prace i znoje odrodzona będzie Polska, a okupione winy praojców? Wielki oddźwięk, jaki znajduje dziś wśród młodzieży hasło czynnej walki o niepodległość Polski, Polski demokratycznej, rzeczypospolitej, mającej zrzucić z siebie piętno wyzysku klasowego, zdaje się potwierdzać to przypuszczenie. Na to jednak aby to przypuszczenie się wcieliło, potrzeba obok wielu istniejących warunków, jeszcze jednego — wielkiego podniesienia ducha. Bo pamiętać musimy, że żaden program na świecie nie zabezpiecza od wypaczenia, choćby był najdoskonalszy: łatwo stać się może odświętnym frazesem, po wygłoszeniu którego z wielkiem przejęciem lub z niezłą imitacyą tegoż wraca się do życia codziennego, dalekiego niekiedy od wzlotów Ikarowych. Są chwile w życiu społeczeństw, kiedy niejeden z przeciętnych ludzi, pod wpływem chwili, staje się zdolnym do czynów bohaterskich. Wiele przykładów tego mieliśmy w 1905 roku. Jedną z takich chwil przedstawił Wyspiański w pierwszym akcie „Wyzwolenia": oto przez salę przeszedł Duch i z ludźmi cuda się dzieją. Płoną ludzie o oschłych sercach. Ten i ów czuje zapał do czynu, do poświęceń, nawet Karmazyn czuje się lepszym, niż codzień i do herbu gotów przyjąć Hołysza, aby Bóg i on jego łaskę

znali. Nietrudno w takiej chwili dziejowej o poryw altruistyczny — trudniej o wytrwałość, trudniej o to, aby ze sprawą z którą związało się swe życie, dzielić dobrą i złą dolę, aby nie opuszczać jej do ostatka. A zwykle tak bywa, że opuszcza ludzi „ów wielki duch“ i wielkich bohaterów, zamiast na polach Cheronei, oglądamy w karykaturze przez pryzmat kawiarni wielkomiejskiej. Więc, żeby uniknąć czegoś podobnego, musi młodzież w okresie przygotowania się do czynu wzbudzić w sobie takie siły duchowe, aby jej starczyły na wielką chwilę. Mamy w dziejach wiele przykładów takiej rewolucyjnej ekstazy, kiedy ambicje osobiste gdzieś ginęły, a zapanowało niepodzielne oddanie się sprawie. Takim był ruch „narodowolców“, wędrujących w lud, aby z nim się zespolić, z zetknięcia się z nim, jak Anteusz z Matką-Ziemią, czerpać nowe siły i z tym zapasem sił nowych iść nieść zagładę tyranom, trzymającym lud w wiekowej niewoli. Ponure słowa i tony hymnu narodowolców:

„A chociaż życie nam zgaszą
Tortury, kaźnie, więzienia,
Lecz sprawę podejmą naszą
Idące już pokolenia...“

towarzyszyły młodzieży rewolucyjnej w jej pracy tytanicznej. A imiona poległych są dziś święte dla młodych pokoleń Rosyi rewolucyjnej. I gdy niedawno na sądzie wojennym usłyszano słowa zabójczyni jen. Mina, Konoplanikówny: „Daruj mi, mój ludzie, żem ci tak mało mogła ofiarować — tylko życie własne“, — zrozumieli ci, o których uszy obiły się te słowa, jak wielką siłę twórczą ma miłość ludu i jego przyszłości.

Dziś są inne czasy, niż w okresie „Narodnej Woli“. Ruch ludowy przybrał charakter zbiorowy i nie wymaga od jednostki, aby jedna za wszystkich składała głowę na ołtarzu idei. Zresztą u nas w Polsce, wobec wyższej niż u sąsiadów kultury mas, zbliżenie się do ludu nie wymagało nigdy tak bezwzględnej i zupełnej abnegacyi, takiego podeptania i wyrzeczenia się swego „ja“. Nie zapożyczajmy od „narodowolców“ ich ubóstwiania chłopa, ich skłonności do wyrzeczenia się kultury. Ale ich hart ducha, ich gotowość do oddania życia, gdy chwila tego zażąda — oto co powinno nam przyświecać. A nadewszystko świadomość, że powodzenie zamiarów młodzieży zależy nie od niej samej, lecz od rozwoju dążeń ludu roboczego, nigdy nie powinna opuszczać młodzieży. Bo przecież polityka młodzieży nie wisi w powietrzu, nie jest oderwaną od czasu i przestrzeni: szkodliwem więc byłoby stwarzanie jakiegoś akademickiego ghetta i szerzenie przekonania, że młodzież sama rozwiąże palące zagadnienia. Tylko praca wśród klasy robotniczej, prowadzona w imię jej potrzeb oraz ideałów bliższych i dalszych, praca, od której nikt w swych latach młodzieńczych usuwać się nie powinien, rozszerzyć może widnokręgi i wrazić głęboko to przekonanie, że Polski nie w dyskusyach programowych szukać należy, lecz w sercach milionowych rzesz robotniczych i chłopskich, podobnie jak Duch Boży zdaniem Mickiewicza — miał się gnieździć w bluzach robotników paryskich.

A nawet w Filarecyi, której poziom ideowy i etyczny jest wyższy od pozostałych ugrupowań młodzieży akademickiej, nie zawsze i nie wszędzie przekonanie to stało się drugą naturą.

Młodzież akademicka tem się różni od młodzieży, robotniczej, że gdy tamta pozostaje do końca życia wierna zasadom, jakiemi się przejęła w okresie młodości, ta zwykle już w lat parę po opuszczeniu uniwersytetu albo obojętnieje na wszystkie sprawy społeczne, albo zmienia zasadniczo linię swych przekonań, krocząc na prawo, w kierunku mniejszego oporu. Dwa momenty w życiu człowieka: otrzymanie posady i małżeństwo, sprawiają że, że wypada napisać kredą na ścianie: „*Hic obiit Conradus — natus est...* Połaniecki“. Zwykła to rzeczy kolej. Doświadczeni działacze społeczni zdają sobie z tego doskonale sprawę, nie zrażają się tem jednak bynajmniej, wychodząc z tej zasady, że młodzież, nawet w krótkim okresie ideowych porywów zdoła sprawie postępu okazać duże usługi.

Zjawisko porzucania bojów młodości jest bardzo częste, a jak twierdzi Ludwik Krzywicki, znajduje się w stosunku odwrotnie proporcyonalnym do wieku, w którym dana jednostka rozpoczęła pracę społeczną. Im kto w młodszym wieku rozpoczął pracę, tem prędzej się zniechęca; przeciwnie, młodzi ludzie, przystępujący do pracy społecznej w wieku lat 20 i późniejszym, często do końca życia pozostają wiernymi swym ideałom. To, co mówi Krzywicki, jest zupełnie zrozumiałe i nie wymaga bliższych wyjaśnień: wynika stąd konieczność prowadzenia z ogromną ostrożnością pracy wśród młodzieży szkół średnich. Dezercyi z pod znaku pracy społecznej nie da się w zupełności usunąć, gdyż przyczyna tego zjawiska leży głęboko, w samej istocie układu społecznego. Myślę jednak, że zło można zmniejszyć przez wytwarzanie w stowarzyszeniach młodzieży takiej atmosfery, którąby ducha podnosiła i stawała się dla młodzieży źródłem pięknych wspomnień na długie lata. Jeżeli takiej atmosfery niema, to stowarzyszenia chybiają celu. Za przykład stowarzyszenia, które choć częściowo spełniło swe zadania, może uchodzić „Spójnia“ warszawska, istniejąca od roku 1899 do 1905. Wytworzyła ona atmosferę rewolucyjną wśród młodzieży, zaprzęgła znaczną ilość swych członków do pracy, a, gdy nadeszła godzina, oddała ich do rozporządzenia sprawie rewolucyjnej. Choć nie wszyscy na wysokości zadania stanęli i stoją, procent jednak tych, którzy pozostali przy sztandarze, pozostał dość znaczny, nawet, jeżeli odliczymy tych, których zmiotła z widowni długoletnia katorga, lub śmierć zaszczytna. „Spójnia“ warszawska była niewątpliwie w szczęśliwych warunkach: łatwiej wytwarzać atmosferę kuźni rewolucyjnej na gruncie warszawskim, niż w wesołych środowiskach Europy Zachodniej, lub w ogniskach galicyjskiego kwietyzmu. Kto jednak zdaje sobie sprawę z tego, że młodzież z Królestwa do kraju powróci; że młodzież galicyjska przynajmniej w osobach lepszych swych przedstawicieli również do Królestwa pojedzie, aby nieść swą pomoc przerzedzanym wciąż przez ochranę szeregom pracowników, dla tego sprawa, jak mają wyglądać stowarzyszenia młodzieży, przestanie być kwestyą akademicką, bo zrozumie, że jakość obecnie istniejącyeh stowarzyszeń będzie miała decydujące znaczenie dla chwili, gdy pojawi się legendarny Wernyhora i zawoła.

„Leć, kto pierwszy, do Warszawy...“

Sprostowanie. W numerze 7-ym, w artykule „Życie polityczne młodzieży“, str. 3, 1-sza szpaltka, 27 wiersz od góry, zamiast „endecka“, winno być „esdecka.“

MICHAJŁO JACKIW.

Mojem zdaniem Jackiw jako literacki batalista jest o wiele poważniejszą postacią, niż panowie Bilze, Bayerlein, Torressani, Schlicht i tylu innych, których dzieła notują skrzętnie wszystkie rynki literackie. Tu — jak w innych nowelach nie chodzi Jackowowi nigdy o efekt, nigdy o przedstawienie realistycznego obrazu jako takiego. Nad każdą jego postacią choćby najdrobniejszą zdaje się widnieć zawsze krwawe: *Ecce homo*. Oto cierpienie człowieka. Czy ten człowiek to rekrut Fyla, czy to ksiądz Horacy, czy nieszczęśliwy adept sztuki teatralnej Czyżyk, — zawsze autor umie wyszukać najistotniejsze rysy danej duszy i umie oddać najgłębsze drgania jej cierpienia. Mocą swej przenikliwej obserwacyi trafia zawsze w sedno danego milieu, a więc daje wprost jedyne w swym rodzaju opisy życia w kasarniach, szpitalach wojskowych, klasztorach, wśród prowincyonalnych drużyn teatralnych („Oj ne chody Hryciu ta na weczernyci“) — po studenckich, małomiasteczkowych stancyach (rodzaj powieści „Ognie płoną“), a mocą swego genialnego talentu w tworzeniu postaci, wyprowadza z obranego milieu drogą żelaznej logiki takie a nie inne charaktery i wskazując nam je w otchłaniach bolu, grzechu, występku i zbrodni, zda się wołać: „Oto grzesznicy! A kto z was czysty, ten niech podniesie pierwszy kamień!“ Naprzykład na Ninę, ową młodą dziewczynę, porwaną szałem zmysłowości („Ognie płoną“), którą zepsuł własny brat, a potem psuło środowisko teatralne, w którem nie było ani jednej szlachetnej duszy. Na Klarę, którą kochanek popchnął na drogę występku. Na tego studenta, pokutującego w klasztorze za wypędzenie z gimnazyum.

Jackiw widzi człowieka zawsze na tle społecznem. Czasem tylko nie widzimy tego głębszego podkładu. I zawsze to tło ciemne, a dusza na niem rysująca się w swych głębiach dobra i czysta, gdyż bardziej nieszczęśliwa jak zła. W tem przyczynowem zestawieniu jednostki i społeczności widzę głębszą intellektualną nawet stronę Jackiwa, owo „*cogito, ergo sum*“ jego sztuki.

W przedmowie do swego ostatniego zbiorku p. t. „Czarne skrzydła“ podkreślił autor bardzo stanowczo ów wpływ milieu na wyrobienie charakterów; nie bez kilku gorzkich słów pod adresem całej społeczności. Gdyż Jackiw na punkcie społecznej filozofii jest zdeterminowanym pessymistą. „Życie — mówi on w jednem miejscu — jest jak te straszne skały... Gdyby człowiek w całości mógł wykuć je w kamieniu, to nie trzebaby gromów, ani piekła“. A na innem miejscu: „Życie jest dobrowolnem więzieniem, zachwyt przebudzeniem, a śmierć spoczynkiem“. I nie są to puste frazesy. Bo obrazki, które spotykamy na kartach jego utworów, udowadniają w całej pełni, *quod demonstrandum erat*. Gdybyśmy tylko znali z jego utworów owego przeora, („Z klasztoru“), który z wyszczerzonymi zębami „tarł (spalonemi przez tabes) krzyżami o brzeg łóżka“, szepnęlibyśmy może sami ze zgrozą: królestwo szatana. Ale takich Goyowskich obrazków jest tu więcej. W cieniu doryckiego krużganku zabija pewien artysta zakochaną weń dziewczynę, myśląc, że to zbójca. Czemu tak się dzieje? Trzykroć przeklęta fatalność losu! wzdycha raz nasz poeta. Jackiw to pessymista *par excellence*. On poeta bolu, głuchego, brutalnego, a zawsze bezsilnego bolu ludzkiej duszy. Ale nie przedstawia go on z ironicznym spokojem pesymisty Maupassanta. Jackiw opromienia swe karty światłem prawdziwie Chrystusowej miłości do człowieka. On Słowianin. Nie dużo u nas artystów, którzyby potrafili wzbudzić w czytelniku tyle miłości do tworów swej wyobraźni. Niekiedy te krótkie jego szkice czytają się jak karty z dziennika dziecka. Tyle tam naiwnej obserwacyi (naiwnej w tem znaczeniu, w jakiem używał tego słowa Schiller) i taka tam głębia pierwotnego, nieskalanego uczucia. Nazwał raz wprawdzie autor swe nowele ironiczno-sentymentalnymi obrazkami. Ale jego ironia — to tylko najzdrowsza w świecie obserwacya (czasem pełna błyskotliwego dowcipu), a jego sentymentalność — to tylko głęboka miłość do człowieka. Nie zapominajmy, iż ta miłość jego ufundowana jest na szerokim podkładzie społecznym. Jego obrazki mają wskutek tego zawsze coś z namiętnego *plaidoyer*. Wprawdzie Jackiw jest zanadto szczerym artystą, aby tanią lub krzykliwą tendencyą kalać czysto artystyczną zawartość swych utworów. Jednak ton wolnomyślnego obrońcy, — a częstokroć oskarżyciela — wyczuwamy z każdego jego słowa. Przypomina mi się mimowoli Multatuli. Bo i nasz artysta popatrzywszy wstecz na swe życie, może powiedzieć o sobie: multatuli. Mało tu dramatów, których by on sam nie przeżył. Ztąd owa szczerość tych szkiców.

IV.

Mimo wszystko jednak, co powiedzieliśmy dotychczas o sztuce Jackiwa — twórczość jego nie byłaby tak charakterystycznem zjawiskiem, gdyby nie pewna jej właściwość, którą oznaczyłbym jak *ens realissimum* jego artystycznej osobowości. Wspomniałem już, że obserwacya jego jest obserwacyą *sui generis*. I podkreśliłem to. Bo gdyby Jackiw przedstawiał tylko tragedyę swego *milieu*, to nie różniłby się niczem od tylu innych realistów, przedstawiających nędzę prostego i inteligentnego proletaryusza. Tak. Gdyby Jackiw patrzył na świat tylko ze stanowiska społecznika. Ale jego obserwacya ma jeszcze inną stronę: naiwno-dziecięcą. Wyrażam przez to niezwykłą subtelność Jackiwa w przedstawianiu nieuchwytnych, nieświadomych stanów duszy. Jest on poetą więcej jednostki jak ogółu, częściej ogranicza się do rysunku psychicznych stanów jak zdarzeń. Taki n. p. energiczny chód zdarzeń jak w nowelach Maupassanta — byłby u Jackowa niemożliwym. Możliwy on jest przy tak wybitnie męskiej obserwacyi, jaka jest u autora „*Fort comme la mort*“. Mupassant — intellektualista *par excellence* — usuwa z całości zdarzenia wszystko, co nie posuwa akcyi bezpośrednio naprzód,ześrodkowując całą swą uwagę na opowiadanie. Podobny jest pod tym względem do dobrego dramaturga (tak jak Henryk Kleist pisał

znakomite nowele). Taki rodzaj obserwacyi nazywam męskim. Jej przeciwstawiam obserwacyę Jackiwa — jako taką, która pojedynczych elementów całości nie różniczkuje, rezygnuje z prostych linij dramaturga, a wybiera serpentynę liryka. Jackiw przedstawia głównie uczuciową zawartość faktu (jest więc patetykiem w przeciwstawieniu do intellektualisty) — rozkładając dany fakt na szereg nastrojów. Tak widzi zdarzenia dziecko — tak odczuwa dziecko. Nie łączy pojedynczych elementów faktu w jedną logiczną całość — gdyż logiki zdarzenia nie rozumie — tylko obserwuje każdą cząstkę z osobna, dochodząc wreszcie drogą indukcyi do mniej lub więcej jasnego pojęcia o zmyśle całości. Nasze dzieciństwo — to nie szereg faktów, tylko szereg nastrojów, nieświadomych stanów duszy, odczuwanych przez nas już to z rozkoszą, już to ze strachem lub z bolem — ale zawsze tylko odczuwanych. Takie szeregi nieświadomie odczuwanych stanów duszy daje prawie zawsze Jackiw.

Subtelność jego pod tym względem jest podziwienia godna. Umożliwia mu ona takie arcydzieło jak „Biały kwiatuszek“ — nowelę, której tematem jest tragedya śmierci w umyśle dziecka. Jak odczuwa dziecko nagłe zniknięcie drogiej osoby z domu? — Jak dochodzi powoli do pojęcia konieczności śmierci?

Aby ten cały duchowy proces przedstawić — do tego potrzeba wprost mikroskopijnej obserwacyi — trzeba samemu odczuwać jak dziecko, gdy nie chce się sfałszować pierwotnych stanów dziecięcej duszy. Powiedziałbym, że Jackiw jest na tem polu mistrzem. Może właśnie wskutek tego dziecięcego rodzaju swej obserwacyi. Mocą przenikliwego wzroku dla nieświadomych i półświadomych stanów ludzkiej duszy. Uczuciowa zawartość zdarzenia jest dla niego główną, a dramatyczna poboczną rzeczą. Jackiw to w pierwszej linii psycholog a nie fabulista. Fakt rozkłada na nastroje, mając na oku głównie uczucia. I daje rzeczy porywające, ilekroć mu przyjdzie pogłębić dusze, które z przyrody rzeczy więcej odczuwają, jak myślą — a więc dusze kobiet („Wiosenny zachwyt“) i dzieci („Biały kwiatuszek“) i dusze zwierząt („Bocian“). Dlaczego topi się Marylka? Nie wiemy. Autor przedstawiając nastroje jej duszy potrafił utrzymać się, że tak powiem *„unter der Schwelle des Bewusstseins“* i zatrzymał w zupełności półnieświadomy ich charakter.

Dlatego też ta nowela tak wzruszająca i tak niezapomniana dla czytelnika. Z tego zamiłowania autora dla drgnień duszy jako takich można wyprowadzić omal, że nie aforystyczną formę całego szeregu jego szkiców („Grzech“, „Już się nie boi“, „Dziecięca dusza w skrzypkach“, „Dziecko“, „Chłopię“) i częste przeplatanie toku akcyi własnemi myślami.

Nie wiem, czy łatwo znaleźć by można drugiego pisarza, któryby pod względem tej subtelności Jackowa w przedstawianiu najgłębszych myśli dziecka dawał rzeczy tak skończone jak on.

Ta dziecięcość jego obserwacyi, to znaczy zacieranie granic między świadomymi a nieświadomymi stanami duszy — ma wpływ i na malowanie tła u Jackowa. Rzadko kiedy spotykamy się tu z czysto realistycznem *interieur.* Podobnie jak fakt — tak i scenę rozkłada Jackiw na — nastroje, na obrazy, które można sobie przedstawić i odczuwać, ale niekoniecznie widzieć. N. p. początek opowiadania „Na służbie“:

„Noc letnia. Księżyc świeci tak jasno, że mak można by zbierać. Niebiański dzwon dzwoni głucho we wieczystych przestworzach — ledwie go słyszy dusza... Aniołowie uśmiechają się i płaczą przez sen...“ Oko męskiego obserwatora widziałoby tylko przestwór niebios i ziemię — dziecięcy obserwator słyszy głos dzwonu i widzi aniołów.



BOJOMIR 910. XII.

JOZEF KUĆ.

Z bruku galicyjskiego znikł jeden z najbardziej charakterystycznych typów politycznego emigranta — zmarł w klinice krakowskiej głośny swego czasu przewódca strejku kolejowego, Józef Kuć. Kuć, z pochodzenia syn chłopa, był jednostką, obdarzoną wielkiemi zdolnościami i silną wolą. Więc, choć wypadki polityczne odebrały go od studyów medycznych i kazały mu rzucić się w wir pracy społecznej, której, pod hasłami S. D. K. P. i L., był całkowicie oddany; choć losy rzuciły go na astrachańskie stepy, powrócił, mając lat 40, do przerwanych studyów i na rok przed śmiercią uzyskał stopień doktora medycyny. Lata rewolucyjne wysunęły Kucia na czoło ruchu. Zwłaszcza jego praca wśród kolejarzy przysporzyła mu dużo sławy.

Namiętny agitator o drewnianej nodze znał swoje audytoryum i wiedział, jak do przekonania mu trafić. Czasem zresztą nietyle argumenty, ile osobista popularność zapewniała mu posłuch; jedno trzaśnięcie pięścią w stół Kucia dawało gwarancyę, że koleje nie pójdą w ruch, jak to

miało miejsce podczas wielkiego strejku październikowego. Narodowych demokratów zwalczał bez litości swym szyderczym językiem, za co oni zemścili się, raniąc tego kalekę na ulicach Warszawy i rozpoczynając w ten sposób seryę walk bratobójczych. Znalazłszy się na grucie krakowskim, Kuć oddał się z zapałem medycynie, lecz życiu społecznemu nigdy nie pozostał obcy. Był przez rok prezesem „Spójni", przemawiał na wszystkich prawie wiecach. Choć syn chłopa (z czego był bardzo dumny, wytykając wszystkim przeciwnikom politycznym szlacheckie pochodzenie), Kuć był rubaszny w mowie, niby *eques Polonus*. Jędrność jego metafor bawiła całe auditoryum. Gdy w roku 1908 w czasie t. zw. Wahrmundowskiego strejku, młodzież z sodalicyi i ze stowarzyszeń „narodowych", zwątpiwszy o wygranej, poczęła obstrukcyjnem zachowaniem się zagłuszać mówców postępowych, jeden Kuć, prześliczną swą mową, anegdotami w staro — szlacheckim stylu i przeróżnemi konceptami zdołał przykuć uwagę całego auditoryum i zmusił ludzi do słuchania. Na wiecu antialkoholicznym, widząc, że mówcy nie uwzględniają warunków społecznych, które powodują pijaństwo, Kuć, aby ośmieszyć oderwane od społecznego podkładu dążenia abstynenckie, wystąpił z pardoksalną mówką, dowodzącą racyi bytu pijaństwa. Jego końcowy okrzyk „niech żyje wódka!" wywołał częściowo śmiech, częściowo zgrozę, ale nie jednego do poważnego myślenia mógł skłonić. — Kuć do końca życia pozostał wiernym swym ideałom, a dzięki prawości charakteru, cieszył się uznaniem nawet wśród ludzi, nie podzielających jego politycznego stanowiska.

(K.)



Z RAPTULARZA.

ŚMIERĆ AEHRENTHALA. Niespodziewanie szybko spowodowała bielica, trawiąca w ostatnich miesiącach organizm potężnego ministra, jego przedwczesny zgon i być może przyspieszyła znacznie zmianę kursu zewnętrznej polityki monarchii. Oceniając działalność zmarłego dyplomaty nie może Polak postępowiec, nawet zdający sobie doskonale sprawę z etycznej wartości jego rządów, nie odnieść się z pewnem uczuciem sympatyi do Aehrenthala — pogromcy caratu, który trawiony już chorobą prawie do chwili agonii był celem niegodnyeh pocisków miotanych przeciw niemu przez klikę wojenną i jej wiedeńskich kondotjerów pióra.

Działalność ministra nie przyniosła nam nic prócz złudnych nadziei roku 1909, ludom austryackim tylko rosnące ciężary wojskowe, monarchii przyniosła niewidziany od czasów kanclerstwa Metternicha wzrost znaczenia światowego i dwie tureckie prowincye, a jednak zatrute strzały godzące w konającego nie wyszły od żadnego z ludów pobi ych, ale od panów Austryi, ciemnej a zarozumiałej kamaryli wojskowo-kościelno-feudalnej, która niepomna Ulmów i Königsgrätzów, nie zdaje sobie sprawy, że wszystkie swoje sukcesy zawdzięczała dotąd nie dobytemu orężowi, ale zręcznej pracy przy zielonym stoliku, geniuszowi dyplomatycznemu Kaunitzów, Metternichów, Andrassych i Aehrenthalów, którzy bez dobycia broni rozszerzali granice monarchii.

Bezgraniczna tępość i niewdzięczność cechowały antyaehrenthalowską kompanię i gdyby zmarły mógł był zapoznac się z najnowszym artykułem „Zeita", który boleje nad tem, że konającemu oszczędzono wręczenia dymisyi, musiałby powtórzyć zdanie La Fontaina, że umrzeć od osła to umrzeć 2 razy. Aehrenthal zmarł w chwili przełomowej dla polityki zewnętrznej monarchii. Do śmierci miał ją utrzymać w torach przez siebie wytyczonych, nie kapitulował przed Rosyą i nie hołdował złudzeniom odnowienia starego porządku na półwyspie Apenińskim Ale już podczas jego choroby zawitał do Wiednia niepożądany gość rosyjski, a następcą jego został znany przyjaciel Rosyi Berchtold. Co przyniesie przyszłość jest dla nas zagadką, ale mało nadziei, aby rozwiązanie jej było dla nas pomyślne.

„ŻYCIE" wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polsklego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce.	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Wydawca: HIPOLIT ŚLIWIŃSKI.

Redaktor odpowiedzialny: ALEKSANDER NAWROCKI.

Kierownik pisma: STEFAN GACKI.

ODBITO W DRUKARNI „PRASY“. LWÓW, ULICA SOKOŁA L. 4. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.